

## **Sto lat minęło jak ...**

Michał Głowiński

MICHAŁ GŁOWIŃSKI

### STO LAT MINĘŁO JAK...

Sto lat minęło – nie samotności, ale ciężkiej zespołowej pracy. Pracy osób, które nasze czasopismo redagowały, i pracy autorów, którzy w nim publikowali: historyków i teoretyków literatury, niekiedy – krytyków literackich. Pracy, na którą dzisiaj, w czasie rocznicowym, spojrzeć można – przynajmniej w części – oczyma historyka. Z szansy tej potrafię skorzystać w niewielkim jedynie stopniu – i to z wielu względów. Obiektywnych, bo historia „Pamiętnika”, jego tradycje i przemiany, w sporej mierze równa się dziejom całej dyscypliny. Ale też subiektywnych, bo należąc do pokolenia tych historyków literatury, którzy na świat przyszli w latach trzydziestych, nie mogę być bezstronnym obserwatorem, rezygnującym z własnych wyborów, upodobań, opcji; nie mogę także dlatego, że jako autor debiutowałem w „Pamiętniku Literackim” recenzją pod koniec lat pięćdziesiątych, a członkiem Redakcji zostałem 10 lat później, mam zatem dane, by zasadnie powiedzieć, że uczestniczę czynnie w jednej trzeciej historii naszego pisma.

Zostało ono powołane do życia przez uczonych pozytywistów, a prace w nim publikowane miały spełniać te kryteria naukowości, które ustalił pozytywizm. Nic w tym nie ma dziwnego, na przełomie XIX i XX wieku takie właśnie były wówczas na świecie pisma naukowe z naszej dyscypliny, niezależnie od tego, jaką konkretnie literaturą się zajmowały i w jakim miejscu je wydawano. W latach mojej młodości sporo się mówiło o przełomie antypozytywistycznym jako sprawie ważnej i wciąż aktualnej, mnie jednak nigdy ona nie emocjonowała, dzisiaj zaś w pełni już należy do historii. W „Pamiętniku” jednak żadnego takiego przełomu nie było, nie tylko zresztą z tej racji, że reguły, jakie pozytywiści wypracowali, okazały się po prostu kryteriami naukowości – także dla tych, którzy nie darzyli tego kierunku sympatią. Nie było, bo rozszerzał on swoje spektrum spokojnie i bez metodologicznych konfliktów (wyjątek stanowi dramatyczna sytuacja z pierwszej połowy lat pięćdziesiątych, kiedy z „Pamiętnika”, jak z wszystkich druków, jakie wówczas w Polsce Ludowej wydawano, uczyniono organ bojowego stalinowskiego marksizmu, był to wszakże epizod jedynie). Współpracowały z nim wszystkie pokolenia historyków literatury polskiej.

W pierwszej połowie wieku – przede wszystkim to pokolenie uczonych, które na świat przyszło w ostatnim 15-leciu XIX wieku, pokolenie znaczone wielkimi nazwiskami Juliusza Kleina, Wacława Borowego, Stanisława Pigonia, by wymienić trzech tylko z tej wspaniałej falangi. Dodałbym tu jeszcze zapomnianego nieco, trochę starszego, Kazimierza Wóycickiego, który jest twórcą nowoczesnej

poetyki w Polsce. Miałem szanse osobistego zetknięcia się tylko z dwojgiem uczonych z tego pokolenia: z Konradem Górkim i – przede wszystkim – z Zofią Szmydtową, wielką erudytką i poliglotką, osobą nie ukrywającą swej do późnych lat młodzieńczej fascynacji literaturą. Ale z pracami przynajmniej niektórych z nich obcowałem nieustannie, na nich się uczyłem. Wymienię przede wszystkim studia Kleinera i Borowego, a także wielkie dzieło Romana Ingardena; wśród badaczy literatury nie miał on uczniów, którzy stosowaliby jego teorie i narzędzia – by tak powiedzieć – w całości, na polską wiedzę o literaturze oddziałał jednak silniej niż ktokolwiek, nie sposób bowiem poważnie zajmować się refleksją teoretyczną w języku polskim, jeśli pomija się jego koncepcje i wprowadzone przez niego kategorie, jest to po prostu niemożliwe.

Z mojego punktu widzenia pokolenie urodzone pod koniec XIX wieku było już pokoleniem klasyków. Następną wielką generacją polskich badaczy literatury, urodzonych w okolicy roku 1910, to z mojej perspektywy pokolenie nauczycieli. W większości znałem ich osobiście, niektórym – jak Kazimierz Budzyk, Maria Renata Mayenowa, Kazimierz Wyka, Czesław Zgorzelski – zawdzięczam bardzo dużo. Chciałbym tu zwrócić uwagę na dramatyczne losy tej generacji. Być może, do niej właśnie stosuje się pojęcie tragicznego pokolenia. Jego przedstawiciele z powodzeniem debiutowali w latach trzydziestych. Ale przyszła wojna, która poczyniła spustoszenia, zabrała kilku tych, którzy należeli do najzdolniejszych, by wymienić Konstantego Troczyńskiego, Dawida Hopensztanda, Franciszka Siedleckiego (zmarł śmiercią naturalną). Ci, co przeżyli, stanęli przed wyzwaniem stalinowskiego marksizmu. Tylko nieliczni – Czesław Zgorzelski, Maria Rzeuska, Irena Sławińska – zdołali się oprzeć jego syrenim śpiewom. Nie chcę się wdawać w rozważania psychologiczne – i pytać, co o takim układzie rzeczy przesądziło, ani tym bardziej w niewczesne moralizowanie, wydaje mi się, że jest to sprawa, która powinna zająć socjologa nauki. Marksizm ów otworzył przed przedstawicielami tego pokolenia możliwości szybkich karier, niejako oddał w ich ręce sterowanie całą dyscypliną. Pokusy były wielkie – zwłaszcza że przypadły na czas powojenny, na czas po klęsce. Na chwałę tego pokolenia powiedzieć mogę, że po tym, jak stalinowski marksizm się załamał i przestał obowiązywać, to pokolenie umiało się pozbierać – i powrócić do pracy naukowej w sensie klasycznym. Świadczą o tym prace Wyki, Mayenowej (przez ów zdegenerowany marksizm najmniej zresztą dotkniętej), Żółkiewskiego. Należą już one dzisiaj do klasyki naszej dyscypliny.

Zjawiskiem całkiem osobnym było dla mnie pokolenie lat dwudziestych, debiutujące pod znakiem tego marksizmu, do którego uczeni z roku 1910 przyłączyli się w wieku dojrzałym. Oczywiście, nie wszyscy badacze złożyli akces – by się o tym przekonać, wystarczy wspomnieć nazwiska Jerzego Kwiatkowskiego, Marii Podrazy-Kwiatkowskiej czy Jana Józefa Lipskiego. Jednakże to ci marksiści, którzy oceniali utwory literackie według kryteriów postępowości–wsteczności, doszukiwali się treści klasowych i surowo potępiali burżuazyjną kulturę, nadawali ton. I znowu muszę stwierdzić, że po roku 1956 w większości umieli odejść od tego rodzaju zideologizowanej nauki, a jeśli zostali wierni marksizmowi, to był to marksizm całkiem inny. Nie ma tu czego ukrywać, ani – tym bardziej – czego się wstydić, badacze, którzy go uprawiali, stworzyli dzieła wybitne. Wymienię Henryka Markiewicza i Marię Janion, Marię Żmigrodzką i Jerzego Ziomka (zajął się

poetyką, w swych pracach od marksizmu odszedł najdalej). Elementy marksizmu pojawiały się zresztą także w publikacjach uczonych, którzy nigdy jako marksiści się nie deklarowali i dalecy byli od ideologicznej ortodoksji; wspomnę tu znakomite studia Zofii Stefanowskiej o Mickiewiczu i Norwidzie.

Dla mnie, jak dla wielu członków pokolenia lat trzydziestych, prace kolegów o 10 lat starszych były punktem odniesienia – często negatywnego. Nasze lata studenckie przypadały na pierwszą połowę lat pięćdziesiątych, kiedy wulgarny stalinowski marksizm panował bezwzględnie w dydaktyce, nic przeto dziwnego, że wywołał reakcję niechętną wszelkiemu marksizmowi, tym bardziej że wciąż – przynajmniej werbalnie – był on oficjalną ideologią Polski Ludowej. Nasze wybory kierowały nas ku formalizmowi rosyjskiemu, praskiemu strukturalizmowi, a także – dopiero się kształtującemu w latach trzydziestych strukturalizmowi warszawsko-wileńskiemu. Byliśmy ciekawi tego także, co się dzieje na szerokim świecie, ale tym się nie wyróżnialiśmy, bo dążenie do wyjścia z PRL-owskiego zaścianka charakteryzowało w równym (a może jeszcze większym) stopniu uczonych nieco starszych, którzy zaczęli jako stalinowscy marksiści. Dla nich sprawa była może psychologicznie nawet ważniejsza, potwierdzali i utwierdzali w ten sposób swoją europejskość, od której dziki, jaskiniowy marksizm, czerpiący natchnienie z pism generalissimusa Stalina, był daleki.

Pokolenie moje w ogromnej większości przypadków zaczynało pod znakiem strukturalizmu i pozostaje mu wiernie. Nie chcę pisać apologii generacji, do jakiej należę, nie mogę jednak już na samym początku nie podkreślić dwu przynajmniej jej zasług. Po pierwsze, przyczyniła się do radykalnego odideologizowania nauki o literaturze. Po drugie, sprawiła, nawiązując do osiągnięć starszych badaczy, że zmieniła się pozycja teorii literatury, przede wszystkim – poetyki. Stała się ona w dużym wymiarze osobnym przedmiotem w uniwersyteckim nauczaniu, a jej narzędzia awansowały do rangi ogólnego dobra badaczy literatury, tak że posługują się nimi swobodnie w opisie dzieła literackiego również ci uczeni, dla których poetyka nie stanowi przedmiotu osobnego zainteresowania. Pamiętam rozmowę sprzed kilkadziesiąt lat z jedną z moich utalentowanych koleżanek. Zapytałam, dlaczego pisząc o pewnym poecie całkowicie pominęła sprawę jego metaforyki. Usłyszałem dumną odpowiedź: bo ja się teorią literatury nie zajmuję. Dzisiaj, a w istocie od wielu lat, rozmowa taka byłaby już niemożliwa.

To właśnie stało się w tym pokoleniu: niezależnie, kto czym się zajmuje, nie może powiedzieć, że teoria literatury to coś dalekiego, nieważnego, abstrakcyjnego, krótko: zyskała ona rangę uniwersalnego współczynnika naszego zawodu. W tej dziedzinie zwyciężcą, i to na długie lata, okazał się strukturalizm. Wniósł on nie tylko pewne metody postępowania, pewne analityczno-interpretacyjne techniki, wylansował pewne narzędzia, które stały się ogólnie dostępne – podobnie jak powszechnym dobrem stały się pewne osiągnięcia pozytywizmu, respektowane także przez tych, dla których pozytywistyczne pojmowanie dzieła literackiego i w ogólności pracy badacza literatury było już tylko zjawiskiem historycznym lub nawet czystym anachronizmem. Strukturalizm określił wyraźne zespoły problemów – najpierw głównie w zakresie struktury dzieła literackiego, potem wszakże zostały one znacznie poszerzone. Wymienić możemy problemy języka dzieła literackiego, jego struktury komunikacyjnej, struktury fabuły i narracji itp. Z czasem ów problemowy repertuar się poszerzał, obejmując także kwestie związane z procesami

rozwojowymi literatury i jej społecznymi uwikłaniami. Nie tu miejsce, by przedstawiać dzieje strukturalizmu, w obrębie krótkiego okolicznościowego artykułu byłoby to niemożliwe nawet wówczas, gdybym żywił tego rodzaju zamiary. Zresztą granice strukturalizmu nie są ściśle ustalone, nie zostały wyznaczone raz na zawsze. Problematyka intertekstualności pojawiła się jako swoiste wotum nieufności wobec niego, gdyż zajmować go miały relacje między tekstem a systemem, podczas gdy tu znaczenie podstawowe zyskiwało to, co się dzieje między jednym tekstem a drugim. Żyje jednak z nim w dobrej symbiozie, a teza, że została przezeń w dużej mierze wchłonięta, nie byłaby pozbawiona uzasadnień. W każdym razie strukturalizm okazał się kierunkiem otwartym, ważnym nie tylko jako zespół metodologicznych dyrektyw, ale także doniosłym jako sfera odniesienia dla tych, którzy z nim się nie identyfikują, wobec niego jednak w takiej lub innej formie się określają. Zanim wszakże napiszę kilka zdań na ten temat, chciałbym zwrócić uwagę na swoistości polskiego strukturalizmu, a są one niewątpliwe. Na pierwszym miejscu wymienilibym to, że ma on – by tak powiedzieć – charakter łagodny. Interesowały go nie tylko literackie systemy, również możliwość stosowania kategorii ogólnych w sferze rozważań o tym, co indywidualne i niepowtarzalne; innymi słowy, w obrębie jego zainteresowań znajdowały się kwestie związane z praktykami interpretacyjnymi. Myślę, że w tej dziedzinie zrobiono w Polsce ogromnie dużo. Innym ważnym wyróżnikiem rodzimego strukturalizmu jest to, że na jego kształt oddziaływała – za sprawą Ingardena – fenomenologiczna teoria literatury oraz że istniał i rozwijał się w kontekście marksizmu, który stanowił na ogół negatywną sferę odniesień, ale też w ten czy inny sposób nań wpływał.

Wydaje mi się, że rola i znaczenie pokolenia, do którego należę, w polskiej nauce o literaturze są ogromne. Zaczynaliśmy w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, kiedy margines swobody był na tyle rozległy, że można było uprawiać zawód nie deklarując się jako marksista. Gdy patrzę na to z perspektywy półwiecza, myślę, że szansa została wykorzystana. Wykorzystana przynajmniej w dużej mierze, aczkolwiek budzi przykre zdziwienie fakt, że wielu reprezentatywnych, niekiedy wysoce utalentowanych przedstawicieli tej generacji stosunkowo wcześniej zrezygnowało z systematycznej pracy, a niektórzy popadli w improduktywizm, grzęznąc w rozgoryczeniu i w frustracjach. O tym, że szansa została wykorzystana, świadczy fakt, że to, co robiliśmy i co przynajmniej niektórzy robią nadal, dla kolegów młodszych stało się punktem odniesienia, sferą, wobec której się określają, zespołem metod i propozycji interpretacyjnych, przeciw którym się buntują. Nie mam jednak danych, by się na ten temat wypowiadać, powinni o tym pisać oni sami. Tak to już bowiem dziwnie się dzieje, że pracownik naukowy określa się wobec tych, co niewiele starsi, oraz wobec rówieśników. Z reguły nie czyni tego wobec młodszych. Oni mogą go złościć bądź budzić jego podziw, może im patronować lub ich zwalczać, są to wszakże związki całkiem innego rodzaju.

Jako historyk literatury zajmowałem się Norwidem (miałem kiedyś nadzieję, że napiszę o nim dużą książkę, ale już wiem, że nie napiszę), Młodą Polską, Leśmianem, różnymi przejawami literatury XX wieku. Zawsze jednak z zaciekawieniem przyglądałem się temu, co się dzieje w historii literatury innych epok. Sądzę, że największa w ostatnich dziesięcioleciach zmiana zaszła w tym, co powiedziano o literaturze staropolskiej. Myślę tu nawet nie o rozbudowywanych ostatnimi czasy badaniach nad skromnym piśmiennictwem polskiego średniowiecza, oba-

wiam się, że mamy tu do czynienia z pewną przesadą, niekiedy chyba motywowaną względami pozamerytorycznymi. Fascynująca jest zmiana, jaka zaszła w pisaniu o literaturze renesansu i baroku, to, jak prace z ostatnich dziesięcioleci różnią się od publikacji dawniejszych, które – jakże często – nie wychodziły poza wąskie granice przyczynku filologicznego bądź historycznego. Zmiana owa dokonała się za sprawą takich uczonych, jak Janina Abramowska i Jerzy Ziomek, Czesław Hernas i Teresa Michałowska, a także fascynującej książki Jana Błońskiego o Sępie Szarzyńskim. Wymieniam tych badaczy jedynie przykładowo, pomijając – niesprawiedliwie! – autorów młodszych. Chodzi mi jednak o to, że nie będąc specjalistą od literatury staropolskiej, znajduję w pracach o niej wiele ciekawych problemów, a także – od czasu do czasu – inspirację.

Kiedy obserwuję prace dotyczące romantyzmu, dostrzegam zastanawiającą dysproporcję. Rozwijają się one wspaniale w tym, co się łączy z historią idei i światopoglądów, badania tego rodzaju nie mają jednak godnego siebie odpowiednika w systematycznym opisie poetyki romantycznej. Oczywiście, pojawiały się cenne rozprawy i z tego zakresu (zwłaszcza pióra uczonych, którzy za młodu byli uczniami Czesława Zgorzelskiego; myślę tu zwłaszcza o dość już dawnych rozprawach Ireneusza Opackiego i Mariana Maciejewskiego). Jest jednak niewątpliwe, że dzisiejsze myślenie o polskiej literaturze romantycznej określają przede wszystkim prace z szeroko zakreślonego kręgu Marii Janion.

O badaniach nad epokami późniejszymi się nie wypowiadam, choć są mi one bliższe, skoro sam w nich z większym lub mniejszym nasileniem uczestniczę. Mogę na koniec zadeklarować, że na przyszłość dyscypliny patrzę w zasadzie optymistycznie. W zasadzie, bo nie wszystko mi odpowiada w tym, co się zdarzyło w ostatnich latach i nadal się dzieje. Nie odpowiada mi to, że w teorii literatury coraz mniej konkretno i coraz mniej rygorowo, a w pewnych przypadkach staje się ona domeną luźnych i niczym nieskrępowanych dywagacji. Różni się to od tego wzorca nauki o literaturze, który od najwcześniejszych lat mi odpowiadał i stawał się poniekąd ideałem. Ci, którzy teraz dla młodszych kolegów są w naszej dyscyplinie *maîtres à penser*, nie są już na ogół moimi mistrzami. Sygnalizuję tu zjawisko, nie chcę jednak wystąpić w roli zrzędzącego starszego pana, który wobec młodszych generacji wyraża pretensję z tego oto powodu, że różnią się w wyborze metod i wartości, czy po prostu w upodobaniach, od tego, co on sam uznawał w swych młodych latach i – w zmienionej bądź niezmienionej postaci – uznaje nadal za wartość i wzór godny naśladowania. Wyznam, że na ogół nie odpowiada mi to, co się w ostatnich dwu dziesięcioleciach dzieje w teorii literatury (nie tyle zresztą u nas, co na szerokim świecie), nie odpowiada mi to, że przekształciła się ona w wiedzę spekulatywną, którą trudno mi ogarnąć, nie lamentuję jednak z tego powodu, nie przepowiadam końca dyscypliny. Mam nadzieję, że chodzi tu o normalne przekształcenia, na które patrzę ze swojej perspektywy, a więc osoby przywiązanej do tego, co się złożyło na klasyczny strukturalizm. Nie mogę zresztą wykluczyć, że chodzi o chwilowe zawirowanie.

Na przyszłość teorii i historii literatury w Polsce patrzę ze spokojem, jeśli nawet nie z optymizmem, z podstawowego powodu: widzę sporą gromadkę młodych zdolnych ludzi, którzy chcą się zajmować naszą dziedziną wiedzy. Odpowiedź na ankietę ma charakter subiektywny, wyznam więc, że ważnym doświadczeniem było dla mnie to, że w mijającym 10-leciu skupiła się wokół mnie grupa

wybitnych doktorantów, z którymi współpraca dawała mi najwyższą satysfakcję (obecnie jestem promotorem przynajmniej dwójga wysoce utalentowanych młodych ludzi). Kilku z nich nazwałem swoją Wielką Piątką, należą do niej: Grzegorz Grochowski, Jacek Kopciński, Jacek Leociak, Grzegorz Wołowicz oraz tragicznie zmarły w ostatnim dniu roku 1999 niezapomniany Adam Makowski. Wymieniam tu młodych uczonych, których znam najlepiej, bo od lat z nimi współpracuję, świadom jednak jestem, że – na szczęście – jest to zjawisko szersze.

Patrzę zatem na przyszłość naszej dyscypliny ze spokojem, bo dostrzegam pokaźny zespół młodych ludzi, którzy chcą ją poważnie uprawiać i rozwijać – mimo takich przeciwwskazań, jak niewielkie zarobki i powolność kariery, uwarunkowana koniecznością zdobywania kolejnych stopni. Chciałbym podkreślić, że tych zdolnych młodych ludzi dostrzegam nie tylko w Warszawie – w Instytucie Badań Literackich, nie tylko w Poznaniu – na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza, nie tylko w Krakowie – na Uniwersytecie Jagiellońskim, a więc w ośrodkach, które od lat w materii tej przodują. Dostrzegam także na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach czy na Uniwersytecie w Szczecinie. Przekonałem się o tym m.in. w trakcie trzydziestej z kolei konferencji teoretycznoliterackiej, jaka przed miesiącem odbyła się w Krasicy pod Przemyślem. Świadomość, że są następcy, jest niewątpliwie krzepiąca. I tym właśnie optymistycznym akcentem chciałbym zakończyć.

Warszawa, październik 2001